

# Polska we władzy Henryka

Teologia Polityczna



Artur Bazak

„Chcę być osądzony! Nie przez Boga, w którego nie wierzę. Nie przez historię. Tylko przez niezawisły sąd Rzeczypospolitej Polskiej.”

„Komuna waliła się. Przyjechałem do Krakowa. Nie wiem po co. Myślałem, że może zacznę na nowo żyć. Przyznam się do wszystkiego. Tylko, że nikt nie był zainteresowany. Ani mną, ani moimi wyznaniem. (...) nagle okazało się, że tamte sprawy są nieważne. A dla mnie były zasadnicze.”

Nie powinno nas dziwić to, że kat i ofiara mówią dzisiaj jednym głosem. Ten pierwszy domaga się sprawiedliwego osądu nad swoim życiem, które miało więcej cieni niż blasków. Drugi gotowości przyjaciela do wysłuchania swojej dramatycznej historii, w której jest miejsce i na odwagę, i na ludzką słabość, na walkę i złamanie, wierność i zdradę. Niestety obaj umarli z dotkliwą świadomością, że jest to niemożliwe.

Dzisiaj nikogo to już nie obchodzi. A głos tych nielicznych, którzy mają wciąż odwagę i chęć przywracania właściwych miar przeszłości giną w zagłuszającym chórze kolejnego pokolenia rodzimych modernizatorów, którzy uznali już dawno dyskusje o zasługach i winach z przeszłości za nierozstrzygalne. Nieodwracalne przeoranie świadomości – oto ich odwieczny i nigdy jeszcze nie osiągnięty cel. Nie spoczną jednak dopóki nie dopną swego. A trzeba podkreślić, że zawsze robią to z dobrych intencji. Nie są cynikami, jakby się mogło na pierwszy rzut oka wydawać.

### **Po trzykroć modernizacja**

Najpierw w ruch poszły wybijające alienację sowieckie kolby i wspierająca „racjonalne myślenie” ideologia marksizmu-leninizmu. Potem pokojowe przejście od komunizmu do demokracji, dla zachowania należytej powagi określone terminem „transformacja”. I wreszcie ostatni produkt akolitów modernizacyjnego zapалу czyli pakiet z ciepłą wodą i autostradami, z bonusem w postaci orzecznictwa europejskiego trybunału, zmierzającego do integracji ostatecznej. Już bez reszty.

Nie chcę porównywać tych trzech grup specjalistów od operacji na

polskiej duszy. Inne metody, inne czasy, zupełnie inne hasła. To ich niewątpliwie różni. Metody stały się subtelniejsze, czasy nie tak dokuczliwe, hasła łatwiej przyswajalne. Łączy ich niewątpliwie wspólny cel. Przemiana świadomości tych ludzi, którzy są jeszcze zakładnikami swojej nieszczęsnej historii, razem z jej irytującym deficytem politycznego realizmu, głupimi powstaniem i nieznośną martyrologią.

Sowietyzacja, transformacja i europeizacja - trzy postaci tego samego marzenia o normalności, której tu zawsze podobno brakowało. Wyrastające z młodzieńczego marzenia o lepszym świecie, w którym zapanuje zgoda, gdzie swary i kłótnie pozostaną tylko niemiłym wspomnieniem czasów niedojrzałości.

Operacja na polskiej duszy to ulubione zajęcie kolejnych zastępów samozwańczych elit. Okoliczności były – trzeba przyznać - sprzyjające. Polska w XX w. zaczynała się co najmniej trzy razy.

W 1918 r. radość z „odzyskanego śmietnika” przeistoczyła się we wspólny wysiłek, zmierzający do złożenia rozkawałkowanego państwa. Wychowane w ówczesnej szkole elity miały wkrótce złożyć najwyższą ofiarę za swoją ojczyznę.

Pustkę po niej wypełnił zastęp nowo mianowanej elity z awansu, która w 1944 r. rozpoczęła wielki plan odbudowy po hekatombie, jaka dotknęła Polskę podczas II wojny światowej.

Czterdzieści pięć lat później dzieci architektów Polski Ludowej usiedli z kolegami z przeciwnej strony barykady do stołu i zawiązując wielki historyczny kompromis ustanowili w kraju nad Wisłą prawdziwe rządy ludu. Na wszelki wypadek, gdyby ludowi przyszło do głowy popsuć ten plan i gdyby okazać się miało, że lud do demokracji nie dorósł, wzięli na siebie ciężar władzy. Pierwszej, drugiej i trzeciej. Po licznych

dotkliwych politycznych porażkach i niewdzięczności ludu umościli się wygodnie w ramach czwartej. I normalizują nas w kilkusetmilionowym nakładzie i na kilku cyfrowych platformach. Krowa została osiodłana.

## **Trzy Polski**

Polska to kraj zerwanej ciągłości. Jej obecny kształt to wynik długoletnich przekształceń (rewolucji, reorientacji, restrukturyzacji, transformacji, normalizacji), które mają charakter kataklizmu i wymiar katastrofy. Tak przynajmniej uważa Ryszard Legutko, autor głośnego „Eseju o duszy polskiej”. „Gdyby Polskę wyobrazić sobie jako pojedynczego człowieka, to ów człowiek tych wszystkich przejść prawdopodobnie by nie przeżył, a jeśliby mu się to udało, byłby kaleką o ciężkich urazach psychicznych.” – pisze krakowski filozof.

Jego diagnoza jest bezlitosna. „Polak współczesny ma poważne problemy tożsamościowe, bo nie wie, co konstytuuje jego dzisiejszą rzeczywistość, co go kształtowało, co ma chwalić, a co ganić, jakie są jego możliwości, miejsce i rola we współczesnym świecie, z czego z przeszłości powinien czerpać oraz jakie wyzwania przyszłe przed nim stoją. Od siedemdziesięciu lat Polacy są niemal wyłącznie przedmiotem, w znikomym zaś stopniu podmiotem historii. Od siedemdziesięciu lat określają się nie wobec tego, czym są, lecz czym mają się stać, przyjmując bezrefleksyjnie, że osiągnięcie tego przyszłego celu nie może się udać bez zrzucenia ciężaru przeszłości. Od siedemdziesięciu lat wyczekujemy tęsknie ponownych narodzin, by żyć życiem innym niż dotychczasowe, wreszcie wolni od dawnych urazów, kompleksów i słabości. Myśl o radykalnym zaczynaniu od początku nie jest wyłącznie uporczywie się pojawiającą intelektualną fantasmagorią, ani konstrukcją retoryczną, lecz odzwierciedla fundamentalne doświadczenie współczesnej Polski.”

Pewnie wielu nie zgodziłoby się z takim poglądem. Wydaje się jednak trafnie oddawać kondycję współczesnego Polaka. Z tą małą poprawką, że to nie Polacy jako ogół zgotowali sobie taki los. „Myśl o radykalnym zaczynaniu od początku” charakteryzuje przede wszystkim polskie elity (używam tego słowa w sensie opisowym, nie wartościującym), które modernizują nas od siedemdziesięciu lat na potęgę, realizując w swoim mniemaniu misję, jaka nakłada na nich inteligencki etos.

Ryszard Legutko twierdzi, że nie ma ciągłości między Polską, która zaczęła się w 1918 r., w 1944 r. i 1989 r. To są, jego zdaniem, trzy różne Polski. Obecną łączy jednak więcej z poprzedniczką niż z krajem, który wyłonił się w 1918 r. III RP nie „narodziła” się jak Polska po stu dwudziestu trzech latach niewoli. Ona została „stworzona” według ustalonego wcześniej planu, który był wynikiem odgórnych ustaleń części komunistycznego establishmentu, dzielącego się władzą z częścią opozycji. Polskę powojenną również „stworzono”. Powstała na gruzach zniszczonego kraju, w poczuciu ogólnonarodowej katastrofy, w sposób niewiele mający wspólnego z suwerenną decyzją. Intencją jej budowniczych było wykreowanie nowego człowieka i nowego świata. Przekonani o bezalternatywności tego projektu, wcielali go w życie wszelkimi metodami. Z tym dziedzictwem i przekonaniem zaczęto budowę, ostatniego wielkiego projektu, jakim jest Polska po 1989 r. Także bez alternatywy.

### **Gra formalności**

Skrojona według najlepszych przepisów, wziętych z zachodnich podręczników nowej liberalno-demokratycznej wiary, III RP zdawała się zwieńczeniem polskich dziejów. Polską wersją „końca historii”.

Polska dusza, zbrukana przez lata niewoli, uzyskała uroczystą absolicję generalną. Udzielili jej kapłani nowej wiary. A ściślej rzecz biorąc,

potomkowie w prostej linii kapłanów jej poprzedniej, bardziej topornej, wersji.

Literackim odpowiednikiem demokratycznych kapłanów mógłby być Gombrowiczowski Henryk ze „Ślubu”, który zdobywa władzę po to, aby ustanowić nowy, uświęcony porządek w świecie, który „ciągle się stwarza”, w którym nic nie jest ustalone raz na zawsze. W którym nie ma już Boga, a to, co sakralne może być co najwyżej stworzone mocą woli samego człowieka. Nie udaje mu się to. Pytanie zasadnicze, jakie trzeba sobie tu postawić to nie pytanie o to, dlaczego mu się to nie udaje, lecz dlaczego nie może mu się to udać?

Henryk jest – co ciągle podkreśla – „człowiekiem nowoczesnym”. Dlatego nie wierzy w stare zaklęcia. Jednocześnie za wszelką cenę chce doprowadzić do ślubu, który „inni ludzie uznają za świętość” i dzięki temu swoją świętość ocali. Rozpięty między poszukiwaniem autentyczności a wypełnieniem wymogu, jaki narzuca na niego rytuał, doprowadza do zguby siebie, najbliższych, swój dom i królestwo.

W świecie, w którym niemożliwa jest władza dana przez Boga, pozostaje mu zdobyć władzę przez gwałt na swoim ojcu. „[Henryk] obala swojego ojca-króla (jedyne ogniwo łączące go z Bogiem i z moralnością absolutną), po czym, ogłosiwszy siebie królem, będzie usiłował odzyskać przeszłość za pomocą ludzi, stworzyć z nich i z nimi rzeczywistość”.

Obalenie starego porządku, przerwanie naturalnego następstwa sukcesji zapoczątkowuje okres degeneracji władzy. Henryk staje się tyranem.

„Świętość, majestat, władza, prawo, moralność, miłość, śmieszność, głupota, mądrość, wszystko to wytwarza

się z ludzi, jak alkohol z kartofli.”

Prawdziwy rytuał, który dotychczas decydował o tym, kto i na mocy jakiego prawa powinien sprawować władzę zamienił się w swoją parodię. Rytuał stał się grą. „To człowiek uważa się za wynalazcę i twórcę gry – on ustala reguły i określa stawkę. Natomiast w świecie religii przeciwnie – człowiek czuje się na łasce potęg, które całkowicie go przewyższają.” Tym samym – gdyby doprowadzić do końca wywód francuskiego filozofa – człowiek zajmuje miejsce Boga. Wyraźnie mówi o tym Henryk w II akcie:

„Ja stwarzam królów!  
Ja powinienem być królem!  
Jestem najwyższy! Nic wyższego ode mnie!  
Ja jestem Bogiem!”

Henryk – żołnierz, książę, król, kapłan i Bóg wreszcie – w swoich kolejnych wcieleniach dokonuje egzystencjalnej i moralnej transgresji, której zwieńczeniem jest dramatyczna klęska. Na końcu, kiedy już wszystko się wali Henryk wypowiada znamienne słowa:

„Jestem niewinny.(...)  
Tu nikt za nic nie jest odpowiedzialny!  
Odpowiedzialności w ogóle nie ma!(...)  
Nie, nie ma odpowiedzialności,  
Muszą jednak zostać załatwione  
Formalności...  
Świat, w którym nie ma już odpowiedzialności, to świat zniewolony.  
Nie tyle ograniczony martwym, niezobowiązującym rytuałem, który próbuje się wszelkimi sposobami (włącznie z gwałtem na świętości, jakim jest władza ojcowska) wskrzesić ze względu na jego wartość legitymizacyjną, co raczej spętany nieustanną grą znaczeń, które

czierpią swój sens z ludzkiego nadania. Wolność nie jest tu prostym przeciwieństwem ograniczającego rytuału, ani synonimem autentyczności. Bliżej jej w tym rozumieniu do „uświadomionej konieczności”, która jest gwarantem przetrwania świata takiego, jaki wyłania się z dziedzictwa przeszłości, a nie wynikiem ludzkiej woli kreacji.

### **Wina bez kary, miłosierdzie bez sprawiedliwości**

W tym najlepszym ze światów, jaki się nam wyłonił po kolejnych próbach ustanowienia ładu w miejsce chaosu, wina nie spotyka się ze sprawiedliwą karą. A dawni bohaterzy umierają na śmietniku historii w zapomnieniu. Tak, jak to jest w przypadku płk. Stefana Kołodzieja i Daniela Struny. Ogólne rozgrzeszenie za dawne winy i zadekretowane miłosierdzie, jako parodia chrześcijańskiej postawy i rytuału nie idzie w parze z wymierzeniem sprawiedliwości.

Nie-ludzka sprawiedliwość została zastąpiona środowiskowymi rozgrywkami. Historyczne role zostały już dawno rozdane. Pula środowiskowych autorytetów wyczerpała się dość dawno. Jediną sensowną odpowiedzią na dominację jednego towarzyskiego salonu jest tworzenie własnego, który rządzi się podobnymi regułami i na podobne manowce schodzi. A wszelkie próby podważenia zasad, na których wspiera się i z których wyrasta ta zaprojektowana rzeczywistość spotyka się z wściekłym atakiem obu stron tego polskiego konfliktu.

Jednymi kieruje niewzruszone przekonanie o własnych historycznych zasługach, wynikających z doniosłego aktu ustanowienia rządów demokracji na gruzach komuny bez rozlewu krwi. Drudzy tę doniosłą rolę swoich adwersarzy kwestionują. To już nie walka kapłana z

błaznem, który organizować miał życie umysłowe i polityczne w PRL-u. To starcie na śmierć i życie dwóch kapłanów. Jeden występuje z obroną zaprojektowanego porządku, w którym naczelną ideą regulatywną jest zsekularyzowana, demokratyczna zasada miłosierdzia, a metodą polityczną dialog i jego przeciwieństwo, czyli wykluczenie. Drugi broni prawa do sprawiedliwego osądu i sprawiedliwej kary tu i teraz, która transcenduje ludzki porządek i ma być fundamentem porządku restytuowanego, sięgającego swoimi korzeniami do „złotego wieku”. Nawet za cenę ostrego konfliktu i podziału, który uznaje za naturalny element politycznej polityki.

Jest to jednak tylko polityczny refleks głębszych problemów, jakie toczą Polskę i polską duszę. To tylko objaw choroby, nie jej przyczyna.

Polska we władzy Henryka to kraj skazany w najlepszym wypadku na trwanie w sytuacji zawieszenia pomiędzy snem o potędze a świadomością swojej małości. To świat bez sprawiedliwości i odpowiedzialności, ale pełen miłosierdzia i... formalności. To miejsce, w którym transgresja, ciągłe przekraczanie resztek narodowego rytuału w poszukiwaniu osobistej autentyczności niszczy to, co udało się jeszcze ocalić. Zamieszkuje je Polak wykorzeniony, pozbawiony historycznej pamięci, poczucia ciągłości i więzów wspólnotowych z innymi, niepewny swojej tożsamości. Nie rozumiejący dylematów płk. Kołodzieja czy Struny. Wyczekujący, aż pojawi się kolejny kapłan z nowymi zaklęciami, za pomocą których rozpocznie wszystko na nowo.

*Artur Bazak*

